

Osobista odpowiedzialność. Te słowa rozcinały życie szpiega na dwie połowy. Po jednej stronie nagroda i zaszczyty, po drugiej zimny dół wykopany w ziemi. Żadnych półcieni i niuansów.

Kregan-ber-Arlens odwrócił się ku południowemu krańcowi płaskorzeźby.

— Teraz południe. Dalekie Południe. Nora wysłała tam Laskolnyka bez konsultacji ze mną. To źle, ale stało się. Na wszelki wypadek przygotujecie mu drogę odwrotu. Ilu czarowników potrzeba, by przerzucić go przez pustynię? Najszybciej, jak się da.

Pytanie zawisło w powietrzu, bo nikt nie wiedział, do kogo było skierowane. Usta cesarza wygięły się w lekkim uśmiechu.

— Umówmy się, że na takie pytania będzie odpowiadał Trzeci. Ma opinię Szczura z liczydłem w głowie. Mów.

Gentrell już kalkulował.

— Między południową granicą Imperium a Magarhami, które oddzielają Białe Konoweryn od pustyni, jest jakieś tysiąc trzysta mil. Niestety, nie ma dokładnych map tamtych ziem. Najlepsi

czarodzieje potrafią otworzyć portal dla jednej osoby na odległość około stu mil. Bezpieczny portal, oczywiście. Ale oazy i źródła nie są na pustyni rozsiane w linii prostej, a i odległości między nimi nie są równe. Dwa tuziny magów, jeśli będziemy chcieli przerzucić generała w jeden dzień. Trasa musi się dublować w najniebezpieczniejszych miejscach.

— Rozumiem. — Uśmiech imperatora znikł. — A ilu ludzi trzeba będzie w sumie zaangażować?

— Ochrona dla każdego maga to minimum drużyna bojowa. Gdzieniedzie dwie lub trzy. Możemy wykorzystać częściowo istniejącą już siatkę, szpiegów rezydujących po oazach, ale i tak... Łącznie to około czterystu ludzi. Trzydzieści drużyn.

— Och. Może w takim razie podasz nam jeszcze przybliżone koszty tego przedsięwzięcia. Ile?

Ton. Wielka Matko, jakimż tonem to pytanie zostało zadane. Gentrell przymknął oczy. Liczył. Dwa tuziny magów posługujących się dość popularnymi, ale i pożądanymi aspektami. Dwa Kwiaty, Pęknięcie w Ścianie, Pusta Beczka, Struna i kilka innych. Każdy weźmie minimum dwieście orgów na miesiąc za to tylko, że każe mu się spędzić jakiś czas na pustyni... to i tak tanio, ale Nora miała swoje sposoby, by zbić cenę. Prawie pięć tysięcy. Trzydzieści drużyn bojowych, każda też ma swój żołd. Po dwieście na drużynę, to już razem jedenaście tysięcy. Wynajęcie miejsc w oazach, kupienie przychylności miejscowych wodzów...

Cesarz chrząknął. Cichuteńko, ale znacząco.

— No więc?

— Czternaście... nie, piętnaście tysięcy orgów, wasza wysokość. Plus nieprzewidziane wydatki, jak łapówki dla lokalnych watażków, najemnicy, może wysłanie posiłków.

— Rocznie?

— Nie. Miesięcznie.

Gentrell nie otwierał oczu. Cisza w komnacie miała konsystencję lotnych piasków.

— Ale jeśli wydłużymy podróż do trzech dni, to będziemy mogli zrezygnować z utrzymywania magów w najniebezpieczniejszych miejscach i koszty spadną do ośmiu tysięcy — dodał szybko.

Ciche parsknięcie przebiło się przez ciszę. Trzeci Szczur zamrugał. Cesarz zatrzymał się przy południowym krańcu kamiennej mapy, ale nie wydawał się rozgniewany, lecz... rozba-wiony?

— Pozostanmy przy piętnastu tysiącach. Przyszykujcie tę drogę. Jeśli sytuacja zmusi mnie do wezwania Laskolnyka, to gdy zrobię to przy śniadaniu, Genno ma zjeść ze mną kolację. Piętnaście tysięcy... Można wystawić za to chorągiew kopijniczą. Albo dwie pancerne. Przez rok uzbiera się na dwa pułki jazdy. Cudownie. A ja się dziwię, dlaczego złoto ze skarbcza wypływa szybciej, niż zdołamy je tam dostarczać. Eusewenio?

— Wasza wysokość.

— Czytałem raporty z Dalekiego Południa. Powstanie wybuchło, setki tysięcy niewolników, głównie pochodzących z Imperium, chwyciło za broń. Wiem. Już o tym rozmawialiśmy. Ale czego nie było w raportach? Od razu uprzedzę, że jeśli powiesz, że znalazło się tam wszystko, co cesarz powinien wiedzieć, twojego zastępcę czeka wiele pracowitych dni i nocy. A ciebie bardzo długi odpoczynek na mój koszt. No więc?

Suka popatrzyła na ber-Arlensa przez trzy, może cztery uderzenia serca. Odważna kobieta.

— Nie wiemy, dlaczego Deana d'Kllean została Płomieniem Agara. Wiemy, jak do tego doszło, raporty nie pozostawiają żadnych wątpliwości: weszła w Oko, zabiła pretendującego do tronu Obrara z Kambehii, po czym została wyniesiona na tron przez

rozhisteryzowaną tłuszczę i fanatyków z Rodów Wojny. Ale dlaczego przeżyła? Od setek lat nikt, kto nie miał w sobie wystarczająco dużo krwi awenderi Agara, nie wyszedł z Oka żywy.

Imperator przechylił lekko głowę, zmrużył oczy.

— A czym według ciebie jest Oko Agara? — zapytał.

— Hm... kapłani Pana Ognia twierdzą, że to miejsce, gdzie jego dominium styka się z naszym światem. Fragment królestwa boga na ziemi. Może to jednak być po prostu przepotężne Źródło Mocy aspektowanej przez ogień.

— Co nie tłumaczyłoby fenomenu... przeżywalności tych, którzy noszą w sobie krew awenderi Agara, mam rację?

— Tak, wasza wysokość.

— Wiem, moja droga, że drażni cię myśl o Nieśmiertelnych mieszających się w nasze sprawy, chętnie zamurowałabyś bramy ich królestw i ograniczyła kontakty z nimi tylko do modłów wznoszonych w świątyniach. Wolałbym jednak — w głosie cesarza pojawiło się coś w rodzaju łagodnego napomnienia — żebyś wykazywała się bardziej otwartym umysłem. Bogowie istnieją i choć od stuleci zachowują daleko posuniętą neutralność, nie są wcale tak bierni, jakbyśmy chcieli. Rozumiesz?

— Tak, panie. — Eusewenia zmarszczyła brwi. — Ale wiem też, że kapłani często wykorzystują naturalne fenomeny magiczne...

— Wiem. Jednakże przygotowując się na nasze małe spotkanie, przestudiowałem sporo ksiąg. Oko Agara otworzyło się około tysiąca lat temu, w czasach, gdy kult Pana Ognia w południowych królestwach zaczął przygasać. Jego pojawieniu się towarzyszył bunt i obalenie ówczesnej dynastii oraz całkowita zmiana układu sił wśród tamtejszych religii. Przypominam, że wówczas Wielka Matka była główną boginią Południa, Agar jednak siłą odebrał jej przywództwo i zepchnął do roli podrzędnej bogini.

— Miał poparcie w armiach żołnierzy-niewolników, których był patronem. — Suka też czytała historyczne traktaty. — Albo raczej jego kapłani mieli poparcie tych armii.

— Zgadza się, co jednak nie tłumaczy, dlaczego w Oku nie płoną ci, którzy są potomkami jego awenderi. Potrafisz to wyjaśnić?

Pokręciła głową.

— Nie.

— Więc przyjmijmy, że to naprawdę objawienie boskiej mocy.

— W takim razie Deana d’Kllean nie powinna przeżyć.

— Sama napisałaś, że jest w ciąży. To potwierdzone informacje.

— Ale ciąża nie powinna jej chronić. W przypadku ciąży jej dziecko ma tylko połowę księżęcej krwi. Znamy przynajmniej dziesięć przypadków, gdy wrzucono w Oko kobiety takie jak ona i żadna nie przeżyła.

— Takie jak ona?

— To dziwne, ale tamtejszym księżetom dość często zdarzało się myśleć niewłaściwą częścią ciała. — Pierwsza wśród Ogarów powiodła po sali ironicznym spojrzeniem. — A młodym służącym zdarzało się zająć w ciążę. Zazwyczaj odsyłano je z pałacu, wydając nieźle za mąż, a ich dzieci odnotowywano jedynie w spisach Wielkiej Biblioteki. Były jednak sytuacje, gdy taka służka okazywała się krnąbrna, a władca zauroczony do tego stopnia, że wspominał o ożenku. Wtedy poddawano ją próbie Oka. Taka tradycja. I żadna nie przeżyła.

— Jaki stąd wniosek?

— Wywiad nie jest od wyciągania wniosków, tylko od dostarczania informacji, wasza wysokość.

Gentrell zmienił zdanie. Suka nie była odważna, lecz obłąkana.

Kregan-ber-Arlens odwrócił się do nich plecami, w stronę południowej ściany komnaty. Gdyby wielkość pomieszczenia na to pozwalała, a Szaleństwo Embreła obejmowało większy kawałek

świata, jego wzrok musiałby się błąkać w okolicach wykutego w marmurze odwzorowania Białego Konoweryna i innych leżących za Travahen ziem.

— Wniosek jest taki, że Nieśmiertelni też kantują w grze. Bo to jest jakaś gra, moja droga. Na północy, na Wyżynie Lytherańskiej, prawie przebudziła się istota, która mogła zdrowo namieszać w panteonie. Ana-bóg. Potężny jak żaden inny przez ostatnie tysiące lat. A jednocześnie w kilku miejscach świata prawie równocześnie doszło do ataków na matriarchistów, i to nie jakichś zwykłych ruchawek fanatyków, lecz nieomal wojen religijnych. Nadal nie wiemy, jakie siły starły się w Ponkee-Laa, kto walczył przeciw komu, kto wygrał, a kto przegrał. Ale moim zdaniem możemy wykluczyć Pana Bitew jako inspiratora tamtych wydarzeń.

Suka zamrugęła, zmarszczyła brwi.

— Wasza wysokość, nie sądzę...

— Jeśli wywiad nie jest od wyciągania wniosków, droga hrabino, to nie jest także od sądzenia. O czymkolwiek. Mam rację?

Po raz pierwszy oblicze Eusewenii Wamlesch pokryło się głęboką czerwienią. Gentrell nie posłał jej triumfalnego uśmiechu, ale i nie oderwał wzroku od jej twarzy.

— To nie Reagwyr stał za rozruchami w Ponkee-Laa — ciągnął cesarz. — Nasi Nieśmiertelni są związani z własnymi przydomkami silniej, niż można by sądzić. Pan Bitew to wojownik, żołnierz. Nie przegrałby starcia w samym sercu swojej największej świątyni w drugim co do wielkości mieście kontynentu, chyba że świątynia i samo miasto ległoby w gruzach. Rozumiesz?

— W takim razie wygrał. — Suka nie odpuszczała.

— Możliwe. Jednakże wtedy właśnie zamieszki wygasły. Więc jeśli Reagwyr się wtrącił, zrobił to, by powstrzymać religijnych fanatyków. Własnych czcicieli. Więc to nie on nimi kierował.

A jeśli Reagwyr nie brał w tym udziału, to inne siły próbowały wciągnąć jego Świątynię w konflikt z wyznawcami Matki. A tym samym z Imperium. Taka jest logika wydarzeń w Ponkee-Laa. A na Dalekim Południu widać to jeszcze wyraźniej. Ktoś próbował przekształcić powstanie niewolników w wojnę religijną, która zakończyłaby się rzezią na skalę, jakiej nie widzieliśmy od czasów, gdy nasze miasta płonęły w czasie wojen między różnymi kultami. Ale mu się nie udało. Obrar Płomienny nie zasiadł na tronie i nie rozpałił setek tysięcy stosów dla zbuntowanych meekhańskich niewolników. I nie, nie posłalibyśmy tam armii; jak Gentrell słusznie zauważył, nie mamy dość sił. Ale musielibyśmy mocno ograniczyć kontakty handlowe. Wysyłamy na południe stal, porcelanę, szkło, sól, miedź, cynę i nasze sławne wina. Dostajemy w zamian przyprawy, jedwab, perły, złoto. I nakładamy podatki na kupców. Bez handlu bardzo ucierpiałby nasz skarbiec. Jednakże kambehijski książę zginął w Oku z ręki Deany d'Kllean. A tylko interwencja Agara mogła ocalić tę issarską dzikuskę od spłónięcia.

— Bóg złamałby własne prawa? — Eusewenia odzyskała już normalne kolory.

— Jest prawda ksiąg pisanych na zamówienie i inne prawdy. Nieprawdaż? — Cesarz odwrócił się do nich i uśmiechnął kpiąco, choć bez złośliwości w oczach. — Czyż nie oddajemy Verdanno ich bydła, mimo że jako własność buntowników powinniśmy je skonfiskować? Lecz przecież kierujemy się honorem Imperium, nawet jeśli nas obrażono. Czy łamiemy własne prawa, to inna rzecz. A prawa Agara? W Oku nie spłonie tylko ten, kto ma w sobie wystarczająco dużo krwi jego awenderi. Tak mówią tamtejsze święte księgi. A ile to jest wystarczająco? Kto wie? Tylko Pan Ognia. Moim zdaniem prawda — uśmieszek władcy znikł — wygląda tak, że Agarowi, podobnie jak Panu Bitew, rzucono

wyzwanie. Próbowano go zmusić, by zrobił coś, na co nie miał ochoty a on odpowiedział i zrobił to, przyznacie, wyjątkowo przewrotnie. Uczynił swoim Płomieniem Issarkę. Wyznawczynię Wielkiej Matki. Gdyby to nie było tak przerażające, byłoby nawet zabawne.

Imperator usiadł na krześle, wyciągnął nogi, westchnął.

— No więc mamy dwóch potężnych bogów, których ktoś próbował wciągnąć w konflikt z Baelta'Mathran. A więc tak naprawdę, ktoś próbował zmusić Meekhan do walki z Reagwyrem i Agarem. I to w chwili, gdy Wschód wygląda jak rozwalona chałupa i nie wiadomo, czy z jej resztek zbudujemy coś trwałego, czy całość zajmie się ogniem. Na szczęście dla nas obaj Nieśmiertelni okazali się... rozsądni. Gentrell, ile właściwie świątyń Pana Ognia jest w Imperium?

Zaskoczyło go to pytanie. Musiał przez chwilę grzebać w pamięci.

— Około trzystu, panie.

— Aż tyle?

— To w gruncie rzeczy niezbyt wiele, wasza wysokość. Mamy ponad dziesięć tysięcy świątyń Matki i drugie tyle przybytków innych bóstw. Nie licząc klasztorów, zgromadzeń zakonnych i innych miejsc kultu. A największa świątynia Pana Ognia przypomina wielkością sporą stajnię. To nie jest zbyt popularny bóg na naszych ziemiach.

— Jego kapłani są lojalni?

— Im mniejsza religia, tym mniej kłopotów, panie. My uznajemy Agara za jednego z Wielkiego Rodzeństwa, jego kapłani oficjalnie uznają zwierzchnictwo Baelta'Mathran.

— Dobrze. Skontaktuj się z ich hierarchą i przekaż w moim imieniu datek w wysokości trzech... nie, dwóch tysięcy orgów. I osiem tysięcy dla Świątyni Reagwyr.

— Jaka będzie intencja datku, wasza wysokość?

Kregan-ber-Arlens uśmiechnął się, a Trzeci Szczur zrozumiał, że wcale mu się nie spodoba to, co zaraz usłyszy.

— Dla Reagwyrza żadna. Tylko moja sympatia. Ale kapłani Agara niech odprawią modły w intencji pokoju na Dalekim Południu. Niech się modlą o zakończenie rozlewu krwi i o wolność dla tych, którzy jej pożądamy. Skoro Pan Ognia zasiadł do stołu, nie ukrywajmy przed nim naszych motywów. Wydaje się rozsądny. A teraz — uśmiech cesarza poszerzył się nieco, gdy jego wzrok spoczął na Suce — chcę wiedzieć, i to dokładnie, w jakie bagno wpadł mój najlepszy generał. Postawię sto tysięcy cesarskich, że Szczury kazały mu siedzieć w pałacu w Białym Konoweryn, i drugie tyle, że ledwo zszedł ze statku, zaczął kombinować, jak by się tu zabawić. A nie uwierzę, że Ogary nie wiedzą, co wymyślił.

Obserwowano ich. Wiedzieli o tym od samego Pomwe, bo ledwo opuścili teren bitwy i wjechali w rzadki las, natknęli się na świeżo porzucone obozowisko. Kilka szałasów z wielkich liści, dziura w ziemi, w której palono ogień, i resztki poogryzanych kości. Miejscowi przewodnicy obejrzeni ślady i stwierdzili, że to na pewno nie tubylcy. Myśliwi z Konoweryn czy Kambehii nie budują takich szałasów ani nie rozpalają ognia w ten sposób. To sztuczka przywieziona przez niewolników z północy, z pogranicza Wielkich Stepów. Poza tym, starszy z mężczyzn wykrzywił ciemną twarz w ponurym grymasie, teraz myśliwi nie zapuszczają się w te okolice. Zbyt łatwo sami staliby się zwierzyną.

Urządzili w tamtym miejscu popas, oporzędzili konie, rozpalili ponownie ogień. Lea pod byle pretekstem znikła w najbliższym szałasie, by po kwadransie wyjść z niego z dłońmi pobrudzonymi

miejscową, czarną i tłustą ziemią. Skinęła tylko głową Laskolnykowi i wyszeptała:

— Dziesięciu ludzi, dwieście jardów stąd.

Po czym skinięciem głowy wskazała kierunek.

Kailean sięgnęła w głąb siebie i wezwała Berdetha.

Pojawił się na skraju polanki, machnął ogonem i już go nie było. Po kilku chwilach przekazał jej obraz: siedmiu mężczyzn i trzy kobiety, wszyscy w bawełnianych przesywanicach, uzbrojeni głównie w krótkie włócznie, oszczepy i noże. Nic dziwnego, że woleli się wycofać; w porównaniu z ich oddziałem wyglądali jak banda obdartusów.

Naradzali się teraz półgłosem. Berdeth stał zbyt daleko, by przekazać jej słowa, ale nie potrzebowała więcej, by rozpoznać, z kim ma do czynienia. Połowa zbrojnych miała jasne włosy, a na niektórych szyjach wciąż widać było pręgi jasnej, nieopalonej skóry. Natknęli się na czujkę niewolniczej armii.

Tak jak planowali.

Zerwała kontakt z duchem psa.

— To nasi.

Lea potwierdziła jej słowa niedbałym machnięciem.

— Wiem. Mówią w meekhu. Zauważyli nas, ledwo mineliśmy Pomwe. Obserwowali. Nie wiedzą, czy jesteśmy najemnikami, czy bandytami. Zastanawia ich Kailean i Kocimiętka.

— Dlaczego?

— Macie najjaśniejsze włosy. Rzadkość tutaj. Sądzą więc, że jesteśmy raczej zbrojnymi wynajętymi przez nich — wskazała na przewodników — bo oni wyglądają i ubierają się jak miejscowi.

Laskolnyk oparł się niedbale o pień drzewa, poprawił pas z szablą.

— Dowiedziałas się, dlaczego tu siedzieli?

— Nie mówili o tym. Ale jeden wspomniał, że są tu już dziesięć dni, więc raczej nie czekali specjalnie na nas. Myślę, że mieli obserwować Pomwe.

— Zaatakują nas?

Berdeth przesłał jej obraz. Dwóch mężczyzn i dwie kobiety opuściło grupkę, znikając między drzewami. Każde poszło w inną stronę.

— Nie teraz, kha-dar. Dopiero gdy ściągną posiłki. — Opisała, co właśnie widział duch psa. Laskolnyk tylko się uśmiechnął.

— Kahel-saw-Kirhu otoczył Pomwe czujkami. Mają pilnować dróg, przejmować posłańców, informować o karawanach. Założę się, że od miesiąca żadna nie dotarła do miasta. — Westchnął, wykrzywił usta. — Cholera. Nie chcę ryzykować walki z ludźmi, których szukam. Damy radę podejść tak, żeby ich nie spłoszyć?

Lea zastanowiła się.

— Nie, kha-dar. To las, gęsty i paskudny. Konno nie podjedziemy, a na piechotę wolałabym na nich nie iść, bo pewnie znają się na walce w lesie lepiej niż my. Musimy to załatwić inaczej.

Więc spróbowali, i to niemal w ostatniej chwili: dziesięć mil dalej, gdy Janne dał znak, że wokół nich zgromadziło się już około trzydziestu zbrojnych, a przed nimi czai się kolejna dwudziestka.

Kailean kichnęła, a Toryn zastrzygł uszami i parsknął. Poklepała go po szyi, odganiając przy okazji kilka natrętnych much. To było dobre miejsce. Minęli właśnie wielką polanę, gdzie konie tonęły w trawach niemal po grzbiety, i stanęli przed gęstymi pnączami zagradzającymi dalszą drogę. Oczywiście Berdetha ujrzała, jak idąca ich tropem trzydziestka rozdziela się. Część ruszyła wzdłuż lasu otaczającego polanę, ale kilku tropiących pochyliło się i znikając w trawach, podażyło wprost za czardaanem.

Kichnęła jeszcze raz i wytarła nos w rękaw. Na ten znak Niiar przysunął się bliżej, zajmując miejsce po jej lewej stronie, a Janne wyciągnął topór i unosząc się w strzemionach, zamasyżystymi ciosami zaczął odrąbywać zagradzające im drogę pnącza. Kailean sięgnęła po szablę, jakby zamierzała do niego dołączyć.

Laskolnyk gwizdnął przeciągle.

Spięli konie, aż zwierzęta przysiadły na zadach, zawrócili niemal w miejscu i runęli w tył. Dziesięć wierzchowców w kilka uderzeń serca przeszło w galop, roztrzając szerokimi piersiami wysokie trawy.

Pędzili.

Janne zwolnił nagle, wypuścił topór z ręki, ciężka broń zawiśła na pętli przy nadgarstku, a mężczyzna pochylił się w siodle i poderwał z ziemi drobną postać. Kocimiętka próbował zrobić to samo, chybił i omal nie spadł z konia. Kailean nawet przez szum powietrza w uszach usłyszała, jak klnie. Sama w ostatniej chwili szarpnęła wodze w lewo, bo Toryn, przywykły do takich starć, próbował właśnie stratować kogoś przed sobą.

I już zbliżali się do drugiego końca polany.

Gwizd osadził ich w miejscu. Zawrócili konie, czujnie, z tarczami uniesionymi w górę, z bronią w rękach.

Kocimiętka kłął nadal, ruszając barkiem w górę i w dół.

— Cicho, Sarden. — Laskolnyk mierzył wzrokiem obrzeża polany, które właśnie zaroily się ludźmi. — Udawaj, że jesteś cały.

Szli na nich ławą, już się nie kryjąc, ta trzydziestka, która ich śledziła, i reszta, dwudziestu zbrojnych, na których mieli wpaść. Ci byli dobrze przygotowani do walki z jazdą, mieli stalowe hełmy i kolczugi. W dłoniach dzierżyli długie włócznie i coś, co wyglądało jak domowej roboty gizarmy, oraz osadzone na sztorc kosa, wyposażone dodatkowo w haki. No i byli starsi niż reszta,

szpakowaci, poblížnieni. Szli równym krokiem, nie spiesząc się, nie okazując wahania ani strachu.

Meekhańska piechota. Weterani.

— Jak twoja zdobycz, Janne?

— Wierzga, kha-dar. — Ptasznik uniósł jeńca, odwrócił twarzą do siebie i parsknął cicho. — Ale łapałem już gorsze rzeczy.

— Chyba jak kuśkę wsadziłeś nie tam, gdzie trzeba. — Daghena brzęknęła palcem na cięciwie. — Na co czekają? I czego nic nie mówią, psiakrew?!

— Widzą, że nie uciekamy, a moglibyśmy. Więc chcą pogadać. — Laskolnyk mierzył wzrokiem zbliżających się piechurów. — Zobaczymy, co powiedzą.

Kailean wykorzystała moment, by rzucić okiem na więźnia, i cmoknęła, zdziwiona. Janne złapał dziewczynę. No oko czter-nasto-, może piętnastoletnią. Drobna, szczupła, czarnowłosa i czarnooka, przypominała Leę, gdyby nie to, że była chuda jak szczapa, a włosy miała ostrzyżone prawie do gołej skóry. Ale rozerwana na piersi koszula odkrywała wszystko. Dziewczyna.

No, albo bardzo dziwny chłopiec. Nigdy nie wiadomo, jak to jest tu, na Dalekim Południu.

— Nie gapcie się na nią — warknęła, poprawiając szablę i wyżej unosząc tarczę. — Chłopy, pokazać im kawałek cycka, a dadzą się pozarzynać jak pijane prosiaki.

Nikt nie zdążył jej odpowiedzieć, bo ciężkozbrojni piechurzy zbliżyli się na jakieś dziesięć kroków, a wtedy Laskolnyk uniósł dłoń i warknął:

— Stać!

Zatrzymali się, podpierając drzewcami włóczni, gizarm i kos. Nie wyglądali ani na przestraszonych, ani na zdenerwowanych. Lekkozbrojni stanęli nieco z tyłu, trzymając broń w pogotowiu. Przez chwilę oba oddziały mierzyły się wzrokiem.

— Jesteście daleko od domu, jak rozumiem — odezwał się piechur stojący pośrodku linii. — Daleko i wcale nie jest pewne, czy do tego domu wrócić, jak rozumiem. Ale, jak rozumiem, chcielibyście wrócić.

Mężczyzna cedził słowa niespiesznie, wręcz flegmatycznie. Siwa broda i pokryta zmarszczkami twarz nadawały mu wygląd siedemdziesięciolatka, lecz najwyraźniej wcale nie był tak stary. Sądząc po dłoniach i muskularnych przedramionach, nie był starszy niż Kocimiętka czy Laskolnyk.

— Ominęliście Pomwe — kontynuował, przeskakując wzrokiem między konnymi. Jeśli zaskoczyła go obecność kobiet w oddziale, nawet nie mrugnął. — To dobrze, jak rozumiem. Nie lubimy nikogo, kto ma jakieś interesy z tamtym miastem. Jeszcze z nim nie skończyliśmy.

Wbił swoją włócznię w ziemię i zrobił trzy kroki naprzód.

— Tutejszym kupcom trudno teraz wynająć miejscowych strażników, jak rozumiem. Więc pewnie szukają naiwnych w karawanserajach. Ludzi z północy, jak rozumiem. Meekhańczyków. Myślą, że to ich ochroni. Ale się mylą, jak rozumiem. — Wskazał ręką na dziewczynę, którą trzymał Janne. — Macie kogoś, kto należy do nas. Oddajcie ją.

Kailean nie spodziewała się, że usłyszy śmiech. Głośny, szczerzy, ciepły. A potem Genno Laskolnyk wyjechał przed szereg, zdjął hełm, wyprostował się i wycedził:

— Więc chodź i weź ją sobie, Luko-wer-Klytus.

Na mgnienie oka wszystko ucichło, potem ktoś z grupy lekkozbrojnych ruszył do przodu, lecz jednocześnie siwy piechur wrzasnął:

— Stać!!! Nie ruszać się!!!

Wszyscy zamarli. Na zaropiałe dupsko starej kozy, ależ on miał głos! Jakby ryczał przez mosiężną tubę.

Mężczyzna też ściągnął hełm i ruszył w stronę kha-dara, a z każdym krokiem jego twarz młodniała.

— Generał? Generał Laskolnyk? Ale dlaczego? Co...?

Zabrakło mu słów, więc tylko machnął ręką i rozpostarł ramiona. Laskolnyk zaśmiał się, zeskoczył na ziemię i padli sobie w objęcia.

— No — Kocimiętka wsunął szablę do pochwy i zarzucił tarczę na plecy — chyba najtrudniejszą część mamy za sobą.

— Żebyś nie zapeszył, łajzo. — Łuk Dagheny powędrował do sajdaka, a ona sama przeciągnęła się, aż coś chrupnęło jej w stawach. — Janne, Kailean już mówiła, żebyś przestał się gapić na cycki tej małej.

— Mam na imię Koło. — Dziewczyna spojrzała na nią wyraźnie rozzłoszczona. — I nie jestem mała.

— Koło? — Brwi Dag powędrowały w górę. — Takie okrągłe, od wozu? Dziewczyno, do krągłości to ci brakuje jakichś pięćdziesięciu funtów. Ty to ledwo szprychą jesteś. Puść ją, Janne, niech dołączy do swoich.

Ptasznik postawił dziewczynę na ziemi i lekko pchnął w stronę pieszych.

— Idź. — Spojrzał na resztę czaardanu. — I co teraz?

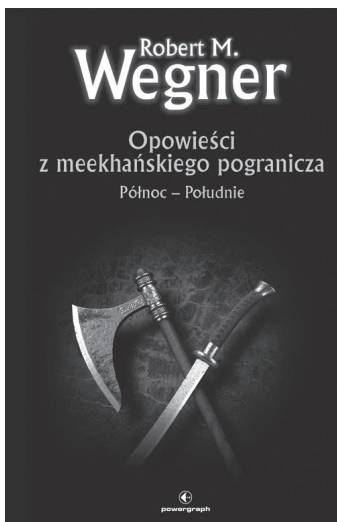
— Czekamy. — Kocimiętka przypomniał im, że jest zastępcą Laskolnyka. — Broń pod ręką, konie trzymać krótko. Miłe powitanie czy nie, na razie uważamy na wszystko. A potem się zobaczy.

To tylko fragment piątej części.
Wkrótce premiera książki!

Robert M. Wegner
Opowieści z meekhańskiego pogranicza.
Każde martwe marzenie

MEEKHAN

Seria, którą pokochały
tysiące czytelników!



powergraph.pl